1847. Nr 30. d. 20 Października ROK 6.

Wydawca i Redaktor, Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

PROŚBA ŚPIEWAKA.

Ja chcę być aniołem, bo ja z nieba wziąłem
Skrzydełka promienne złociste,
I chcenia dziewicze, i pienia słowicze,
Tak tkliwe, tak słodkie, tak czyste!

Gdy źle mi na ziemi—to skrzydły złotemi
Wylecę ku niebu — daleko,
Gdzie świateł tysiące, gdzie gwiazdeczki lśniące
Srebrzystą mrugają powieką.

I pełen miłości—nucę dla ludzkości,
Jak gdyby skowronek pieśń świętą;
I słowa w tę porę — od aniołów biorę,
Bo pieśń ma w natchnieniu poczętą.

I nucę, i śpiewam. . . . o! bo się spodziewam,
Że piosnkę śpiewaka pojmiecie,
Że w sercach odżyje, że echo odbije
Piosenkę mą znowu na świecie.

Piosnka to nie nowa, bo pierwsze jéj słowa
„Bóg, ludzkość!"—te słowa jedynie;
Ale nuta tkliwa, bo z serca wypływa;
Więc pewno do serca wam wpłynie.

Ja chcę być aniołem, ażebym mógł czołem
Przed Bogiem — przed ojcem pokłonić,
Uprosić u Niego, by piewcę biednego
Chciał swemi promieńmi osłonić.

Wtenczasbym o Boże! jeśli to być może,
Wziął jeden promyczek maleńki,
Opasałbym lutnię, co dzisiaj tak smutnie
Żałośne wydaje wciąż jęki.

A tak przewiązana, lutnia ma kochana
Boskiemi by tony dźwięczała;
Ludzie by słuchali, i pieśń pojmowali,
Bo by im do duszy spływała.—

O! pozwól mi Boże, jeśli to być może,
Ażebym pieśń taką ułożył!
Ty rządzisz wszechświatem; dla mnie dosyć na tém
Ażebym świat sobie dusz stworzył.

O! pozwól na chwilę, pozwól tylko tyle,
Bym zstąpił w anioła postaci,
I rządził sercami, i rządził duszami
Mych bliźnich, siostr moich i braci!

Teod. Krzywicki.

WIDOK ŚWIATA

Zastanowienie się nad człowiekiem.

Nie masz chwilki życia bez myśli, bo myśl, duch, *niestworzoność* zawsze i wszędzie w stosunkach doczesnych się przebija. I w téj chwili kiedy to piszę nad wąwozem wśród krzewiny, gdy na łonie natury oddycham pełnemi piersiami—pełniejszą jeszcze myślą, uczuciem tchnie dusza moja. Przedemną obrazy, a we mnie myśli—tak odpowiednie tym obrazom, jak duch naturze. Przedemną w milowéj przeszło dali, w głębi wąwozu, złocą się kopuły kościołów, a na tych kościołach podwójne krzyże Carogrodu! bieli się stolica i gmachy i wieże, a na tych wieżach, czarne dwugłówne po Paleologach orły Carogorodu! Nad białym grodem, to słońce świeci, to się niebo chmurzy, bałwani, jakby się rozprute chmury porwały na szmaty, i znów się wypogadza, przejaśnia, a wełniste obłoki, rozpostarte jak białe runo, jak płaszcz chlamida z wilgoci tkany, spięły od wschodu dwie szmaragdowe chmurki na przecudném tle błękitu. Białawe obłoczki spłukane deszczem, nabrzmiałe wilgocią, wyglądają jak wyspy z białego piasku, jak śnieżne góry. To białe życie człowieka wezbrane winą. Ten nieskończony ocean błękitny, to może tło wieczności ubarwione rozmaitością życia; życia stałego na chwilę, jak te chmury, obłoki, a zresztą zmiennego, nikłego, pełnego jednak wdzięku, nawet w swych rozpraszających się smugach chwilowego istnienia. O nie!—morze błękitu, to nie tło wieczności; bo cóżby to była za wieczność stworzona

równo ze słońcem? Czémże ta nieskończoność będzie, kiedy słońce zagaśnie, a Duch Boży świat ożywiać przestanie i barwić nieskończoność doczesnym błękitem?... To raczéj świat, ludzkość, *dzieła stworzenia* ujęte w odwiecznych prawach swojego bytu, na tle których tyle chmur nieszczęścia, obłoków dumy, tyle złego w chwilowém przejściu przez życie.... Wątpią o prawach odwiecznych ludzie małéj wiary, słabéj głowy, poglądając na ulotnione z ziemi wyziewy—na maleńki widnokrąg życia, co jest ledwie tysiączną, milijonową cząstką, kroplą na widnokręgu ziemi, a i tu obłoki nabrzmiałe ziemską wilgocią, są najczęściéj li częścią, i zalegają tylko nie wiele wzniesione nad padoł ziemski przestrzenie, zalegają dziś, jutro, a może się do jutra jeszcze wypogodzi.... Dla czegóż podczas chmurnéj jesieni przebijając duchem zatoczone grubą mgłą niebo, domyślasz się wypogodzonego gdzieindziéj błękitu, i tak ci luba, tak pamiętna myśl: że w innéj stronie jaśniejsze niebios przestrzenie? Dla czego? Bo miło przeczuwać, bo trzeba i chce się wierzyć, w stałe, niezmienne, odwieczne ustawy wśród świata zjawisk. Gdy burza, i kiedy chmury widnokrąg w którym żyjemy zatoczą; ta konieczna wilgoć żywota co wyparowała z łona ziemi i unosi się nad nami, lunąć musi deszczem, rosą nieba, piorunem wreszcie, by ożywić powietrze życia.

A to słońce? nie patrzysz na nie, a oświeca cię. Zakryte nawet chmurami, rozlewa wszędzie światło i ciepło swoje. Zwróć ku niemu oko, a olśni cię. Nie obraz że to Boga jedynego, który wysoko jak to słońce, który głęboko *jest*, bo w naszéj duszy, w rdzeniu wszechistnienia—w niebiesiech! Obraz to zaiste, cień cienia—napomknienie dalekie. W życiu człowieka napomknień tyle, tyle pomysłów budzą zjawiska przemijające, budzą tyle myśli nie z tego świata, a jednak dla świata. Bo i na cóżby je Bóg zesłał na ziemię? To są ułamki nieba, biedne, osierocone, jak my na téj ziemi, a jednak konieczne dla tajemnego powabu, uroku, niewymownego wdzięku rozlanego w dziełach stworzenia, które Bóg rozpostarł jako podnóże swojéj potęgi i chwały, po obszarach istnienia rozwinął i porozwieszał w przeszłości i czasie, jako szatę swoją, szatę niezszywaną.

℣. Wzbijaj się myśli ku ogólności, by ogarnąć całość Stworzenia.— Bujaj po niebie ducha, jak chmura oderwana od ziemi, dla skropienia

jéj deszczem rzęsistym, lub ożywczym pokarmem rosy. Odrywaj się wolą! niech się i uczucie odrywa od namiętnostek samolubstwa i nikczemności; niechaj się nie przywięzują do złego, do prochu i pychy. Myśli moja! Chmuro moja! Przewodni obłoku Izraëlitów na puszczy, obłoku mędrców wędrujących do żłobu Boga-człowieka, jasna i świetna gwiazdo zbawienia! myśli moja! duchu mój! Tyś arką przymierza, rozumu, wiary, zesłaniem nieba, zwiastunem przyszłości, przyszłości prorokiem, prawdziwą muzą natchnienia.

Boże natury! święte są prawa twoje w najdoskonalszém dziele rąk Twoich, w najświętszéj księdze na ziemi. Błagam Cię Ojcze! jak dziecię o natchnienie prawdy na początku hymnu stworzenia i pieśni żywota; bo Stwórca tylko dla niestworzonego ducha, muzą natchnienia, najlepszym Ojcem stworzenia.

Bóg życia, tchnie życie w niezliczone twory,
Chce tylko jak ojciec od dzieci pokory,
A na związek miłości daje im świat cały,
To słońce niebieskie, te pereł kobierce,
I szczęściem aniołów wypełnia im serce
I mieści przy tworach czas wieków i chwały. (*A. Z.*)

Piękny jest świat w dziełach bożych rozwijający się coraz doskonaléj, żywiéj; niebo i ziemia, mówi Pismo, chwalą Pana Zastępów, przez niepojętą doskonałość swoją. Ale stokroć piękniejsze, doskonalsze życie, zajmujące się w człowieku, który zresztą, żyje jak cała natura, żyć musi jak proch, roślina, zwierze. Ma on w sobie potrzeby, przed sobą świat, a to go wprawia w ruch bezustanny od kolebki do grobu; jest to pęd wody unoszący nas z sobą, jak ziemia w swym wiecznym obiegu, jak owa wszechmocna siła ciągnienia powszechnego, od któréj się nic nigdzie i nigdy wyłamać nie może.—Są to prawa konieczne.—Gdyby Stwórca chciał nas mieć tylko wykonawcami prostemi tych odwiecznych praw świata, nie dałby nam woli w działaniu. Wszystkoby wtedy szło w dziejach ludzkości, jak w biegu świata fizycznego, gdzie wszystko jest konieczne: kamień się kruszy i na dół spada, kwiat więdnieje i usycha, ciało słabnie i umiera.

W bytach życia ludzkiego widać co innego!.. Duch dany człowiekowi z wysoka, ciągle go wznosi ku górze, czyni go małym twórcą

na ziemi, a raczéj w kółku życia, gdzie na wzór wielkiego świata wyrabia się świat mały. Twórczém narzędziem człowieka jest duch, odlewający się w całéj pełności życia przez rozumną wolę, i dla tego to w życiu ludzkiém widzimy wyższą potęgę stworzenia, tu konieczność składa niebieską muzykę, harmonią życia.

Za granicą téj harmonii rozciąga się tajemniczość niepojęta, przeczuwana jedynie całém życiem człowieka, to jest duchem niestworzonym, zawarowanym stworzeniem na polu ziemskiego żywota. Tajemniczość ta nazwana—lecz nieznana, ta konieczna pierwsza przyczyna świata i człowieka, jest BÓG. — ON alfą i omegą stworzenia, początkiem i końcem wszystkiego—a to wszystko razem wzięte, nie jest NIM jeszcze: To dzieło Jego nie jest Nim jeszcze, jak dzieło autora nie jest autorem, ale objawem najwyższéj mądrości bóstwa. Dla tego to człowiek—całostka, odbijająca w sobie świat cały, poznawać tylko może myśl bożą w celowości świata, a przerabiając myśl w życie, za najwyższą zagadkę to na ziemi uważa. W najwyższém wzniesieniu ducha człowiek, urzeczywistniając najsilniéj zesłannictwo swoje, obejmując całą ludzkość, świat cały, przeszłość i przyszłość— w zachwycie ducha—wie tylko, że sobie niewystarcza. Od urodzenia walczy ze światem przedsobnym, podnosi się i upada na przemiany, a z tego dualizmu, wznieść się pragnie do uznania w sobie jedności; na morzu życia, na tym oceanie bez granic, nauka jest dłań sternikiem. Przed nim prawa natury i doświadczenia wieków, ogromne bogactwa natury i niewyczerpane skarby ducha.

Szuka prawdy w naturze i wątpliwosci dręczą go, swawola kołysze; natura jest tylko zaraniem prawdy, jutrzenką życia.

Szuka prawdy w myśli i zamiast słońca, widzi czerwieniącą się łunę w dymie obłoków, bo nie samą myślą żyje człowiek.

Prawda leży w naturze i w duchu, czyli naturze duchowéj, w dziejach ludzkości. Każde pytanie winno być rozwiązane na drodze tych dziejów, bo inaczéj nie będzie słowem życia. Stwórca objawił mądrość w ogóle stworzenia, nie tylko w naturze saméj, lub saméj myśli. Myśl i natura jedno są jak forma i tworzywo, jak duch i ciało— jednym człowiekiem. Prawdy więc ogólnéj, powszechnéj a zatém koniecznéj, potrzebnéj dla wszystkich, szukać potrzeba w ogóle dla wszy-

stkich dostępnym, objawionym, rozlanym wszędzie przez swoją pospolitość. Inaczéj prawda nie będzie ogólna, konieczna; dostępna; nie będzie to prawda, ale cień prawdy....

Natura jest szatą stworzenia, obłogiem myśli, smugiem na którym się rozłożył duch i unosi się jak mgła poranna, jak modlitwa poranna ku Stwórcy, przez co świat opływa namaszczeniem prawdy, dobra, i piękna. Dla tego to sama ziemia, cząstka świata powszechnego, przedstawia widok wspaniały, przemawiający do duszy. Człowiek z rozwiniętém uczuciem widzi w niéj Myśl Bożą, wcieloną w ten szereg doskonałości, co się stopniowo zajmuje coraz wyższém życiem i unosi się,—ulata coraz wyżéj, niby wonne kadzidło, w świątyni bez granic, bez końca.... W téj to stopniowości, w tém to wzniesieniu się od prochu ziemi do najpiękniejszych kształtów, barw i niepojętego ciał niebieskich ogromu, od siły ciężkości do siły żywotnéj świata organicznego, tkwi pojęcie téj tajemniczéj Mądrości i Wszechmocy, któréj wola rządzi światem, a niepojęte wyroki powodują dziejami ludzkości.

Jakaż tu wszędzie harmonija! Rośliny powstają, gdy już świat nieorganiczny przygotował dla nich ziemne łożysko ze swego ciała, pokarm ze swoich wnętrzności. Istoty żyjące unoszą się po płynnych żywiołach ziemi lub spoczywają na pięknym i miękkim roślin kobiercu, pod ich cieniem pijąc to samo powietrze, tę samą wodę co i rośliny. Człowiek jako ulubione, najukochańsze dziecie natury, jest panem zwierząt, roślin i ziemi, jest głową widomą stworzenia. Treść to widomego świata; ciężki jak bryła ziemi, mieści w sobie życie roślinne i zwierzęce; a potém oddaje ciało ziemi, z któréj się począł, bo proch jako niemy dobytek stworzenia jest własnością ziemi, czyn tylko własnością człowieka, ludzkości.

Dzieła Stworzenia od najprostszych wznoszą się do najbardziéj złożonych: w roślinach i zwierzętach podziwiamy cudowną tkankę niepojętéj delikatności, gdzie niewiedzieć czemu dziwić się więcéj: czy téj ślicznéj całości cudnego organizmu, czy organom włoskowym, czy baleńkom płynu, co we krwi naszéj rozdrobniły się do nieskończoności i giną jak atomy niepojętéj małości nawet przed uzbrojoném okiem. Lecz pocóż się puszczać w cały ogrom i rozmaitość Stworzenia? Wy-

stawmy sobie najmniejszą odwianą od prochu okruszynę, która się żadnym w świecie sposobem rozłożyć nie da, rozpuścić nie może na nic drobniejszego. Jakiejże potrzeba potęgi na jéj *Stworzenie?* Nie pojmujemy tego, pojmujemy tylko, że się samo nic stworzyć nie mogło. Próżne jest podziwianie tych światów bez granic, bez końca— tych cudownych istot organicznych i rozmaitości nieorganicznego świata. Kto mógł proch stworzyć z niczego, temu niczém wszystkie światy, dla tego wszystko co jest—jest jakby nie było. Wszystko przez Stwórcę *jest*, to jest wyprowadzone zostało z niczego: jest to prosta, skromna, potulna wiara prostaczka i mędrca, nie mędrca śród stosów ksiąg, logicznych formułek syllogizmu, w pajęczéj przędzy metafizyki; ale mędrca życia, męża ducha, to jest uczucia, myśli i czynu.—Byt stworzony to jest najdoskonalsza harmonija ducha i tworzywa jest wszystkiém,—a czy milijonowych światów, czy jednego proszku, to mało znaczy dla siły, która to wszystko wydała, któréj nic nie ogranicza. Pojęcie Boga, to jest koniecznéj a najwyższéj przyczyny wszystkiego, tak jest wysokie, że kto nie pojmuje Istoty Najwyższéj najgodniéj, to jest najodpowiedniéj naturze ludzkiéj—bluźni.

Byt warunkowy, to jest zawarowany pierwszą przyczyną (stworzony), jest to *nieskończoność wcielona.* Swiat jest tryumfem, chwałą, a przytém tajemnicą Stworzenia. Niebo i ziemia (mówi pismo) są chwałą Pana Zastępów. Wierzmy katechizmowéj myśli, że Pan Bóg stworzył świat dla tego, *że mu się tak podobało*, a co się podobało Najwyższéj Istocie, było godne Najwyższéj Mądrości wszechświata, równie godne jak owa niepojęta Niestworzoność, byt bezwarunkowy, co się odbija we wszystkich podaniach religijnych i w chrześciańskiém pojęciu Boga. Powstawanie na doczesność, materyę, jest przynajmniéj takiém bluźnierstwem jak bezbożność, jeżeli nie większém, zwracając uwagę na bezpośredniość, i że tak powiem, dotykalność, konieczność natury, wiarę w świat przemawiającą tak wyraźnie, dobitnie i jasno, do naszego przekonania. Ta to właśnie konieczność, nadaje światu całą godność, a ciała, żyjące stworzenia, ludzie, dopełniają ślicznie przeznaczenia swojego, wykazując prawa konieczności. Konieczność nawet w biedném rozumowaniu człowieka gra pierwszą i najważniejszą rolę, a co się tycze pierwszych przyczyn, jest podobną

alfą i omegą naszéj mądrości. Wiara gra ważną rolę w rozwiązaniu najzawikłańszych bo ostatecznych zagadnień życia. Konieczność w życiu każdego człowieka, wszystko tłomaczy, tłomaczy całém przekonaniem, rozwinięciem całego ducha, wolą, życiem—tym najlepszym syllogizmem rozumowania ludzkiego. Kiedy człowiek zaspakaja potoczne, konieczne, najprawdziwsze, najpowszechniejsze potrzeby życia.—W życiu człowieka jest konieczność i działa wszędzie. Żyje on na ziemi, która go wydała i karmi; zanurzany w powietrzu, które go ożywia i środkuje w sobie siły organiczne świata, bo dostał od natury w udziele przymioty najdoskonalszéj organizacyi; jest to więc stworzenie najdoskonalsze na ziemi, jest to natura w najwyższéj życia organicznego potędze.—Z tego że jest najdoskonalszém stworzeniem, wypada, że powinien iść za popędem natury i zaspakajać, jak zwierzęta, wszystkie jéj potrzeby. Jest-że to tak w istocie? Nie! Człowiek czy dziki, czy ukształcony w niczém nie zna granic, nie ma więc najpiękniejszego przymiotu zwierząt—a nawet istot nieorganicznych: *prawa ograniczającego*, *instynktu*, *naturalnéj granicy działania*. Może nadużywać i nadużywa. W samém nadużyciu jednak, jest zaród czegóś, czego nie ma w innych stworzeniach: *potrzeba oznaczenia sobie granic*, *miary*, *ograniczenia się*, *umiarkowania*. Rozumujmy sobie jak chcemy, a ograniczyć, umiarkować się koniecznie potrzeba. Czy człowiek to uczyni zaraz, czy aż wtedy, gdy do ostatecznego dojdzie wysilenia, musi się ograniczyć—i to właśnie dowodzi, że natura jego jest wyższa, uduchowniona przez tę wyższą, właściwą siłę.—Wszystko woła o umiarkowanie chęci, a zatém idzie kształcenie uczuć, rozwijanie myśli i uprawa woli.

Kogo nie wstrzyma niesmak życia, nadwerężenie sił, ten doszedłszy do ostateczności, wyrzeka się dobrowolnie rozumu i jest gorszym niż bezrozumne zwierze, bo dąży do samobójstwa zdolności swoich własną o tém wiedzą. Od samobójstwa do pierwszéj niespokojności, która wzrusza swém tchnieniem tonie naszego sumienia, przy nadwerężeniu drobiazgowém naszych powinności, względem siebie i innych, jest pole do popisu naszych zdolności.

Swawola więc, jest piérwszym pąkiem przekształcenia konieczności, która jest udziałem niemych stworzeń, powodujących się instyn-

ktem. Usposobienie wewnętrzne pokazuje nam, że możemy robić co chcemy, możemy nawet iść wbrew naturze, zabić siebie. Wolność woli nieograniczona, jest to przymiot tak konieczny, że bez niego nie pojmujemy człowieka, jak ciała bez formy, bez ciężkości. Tym sposobem tylko człowiek może się wznieść nad zwierzęta, lub stać się istotą najpośledniejszą w świecie, gdy się unikczemnia przez niegodną rozpustę swawoli.—Każdy z nas czuje: iż gdyby chciał mógłby się zabić, a jednak przy zdrowych zmysłach nie zabija się, chociaż mu nikt tego nie broni. Rozumna wolność człowieka, właściwie mówiąc, leży nie w wyskoku swawoli, ale stosowaniu się do natury. Dla czegóż to? bo natura wlała w nas chęć zachowania życia i szczęścia, dobrego bytu. Ograniczam się o tyle o ile wymaga konieczność, która prowadzi człowieka do wolności rozumnéj, pokazując, że przeznaczeniem jego, nie jest zresztą ani ślepa konieczność, ani bezrozumna wolność czyli swawola. Naturą człowieka jest umiarkowanie, to jest coś wyższego nad naturę, a nad naturę wyższym być nie może to, w czém się nie mieści natura jako stopień, doba, moment, stadium rozwinięcia.

Jak siła żywotna w zwierzęciu, przekształca magnetyzm i zwierzęcym go czyni, to jest do wyższéj potęgi go wznosi, tak i natura wznosi się, uduchownia w naturze ludzkiéj. Jest to prawda nawiasowa, o któréj nigdy zapomnieć nie trzeba, mówiąc o naturze w życiu człowieka.

Dziwna rzecz, jak cudownie kojarzy w życiu człowieka jego wola z koniecznością natury. Człowiek może się ograniczyć do takiego stopnia, że umiera spokojnie, kiedy tego wymaga konieczność natury. Ileż to walk? tak zaiste! bo nic przykrzejszego nad myśl stracenia życia dla człowieka. Człowiek rad nierad zgadza się jednak na śmierć kiedy konieczność natury woła. Jest to tryumf, harmonija z koniecznością natury. Spokojna śmierć i poświęcenie, jest najdroższą ofiarą, bo w najwyższym stopniu, ludzkiém najdoskonalszém wyrażeniem się człowieka.—Wtedy to duch nasz przeczuwa znać gorąco, żywo, byt wyższy, niezawarowany doczesnością, i dla jednego przejścia po ziemi, poświęca to, co mu najdroższego—samo życie. Między swawolą i poświęceniem, leży pole życia umiarkowanego, ludzkiego.

Czy duch człowieka jest tylko uduchownionym instynktem zwierzęcym, jak instynkt uduchownionèm prawem organizmu? Czy ta siła jest własnością materyi rozlaną w świecie jak siła żywotna i wciela się w rozmaite ludzkie postacie? Nikt nie wié! Niepokoi nas myśl taka. I jaż to co się odrębnym czuję od wszystkich ciał, od mego własnego nawet ciała, mam się rozlać, rozpłynąć po śmierci w ten ogólny elektrofor życia, ziemię? Nie! to niepodobna.

Duch mój jest indywidualnym nie *podzielnym* pierwiastkiem Boga *) Najwyższéj Istoty, a zatém oddzielić się od siebie nie może, jak części ciała, którego siła żywotna przejdzie i spłynie w ziemię po śmierci; ciało robaki roztoczą, kość spruchnieje i tarzać się będzie może po ziemi, jak te kości, co się walają pod naszemi nogami. Na tę myśl nieraz westchnieniem pierś się rozdyma, a wiara mówi, że duch jest nieśmiertelny, i zmartwychwstanie w doskonalszém wcieleniu, i człowiek odrodzi się w całéj osobistości. Człowiek to samo przeczuwa i nie może temu niewierzyć, nawet śród miotających nim wątpliwości. Bo i cóżby wyrażało poświęcenie, jeżeli nie ducha nieśmiertelnego, wyższego nad życie i dla tego wznoszącego się nad nie w górne krainy, gdzie niestworzona ojczyzna jego?

Dla człowieka jednak nie dość wiary, bo wiara zawsze jest tylko uczuciem a uczucie się zmienia: dla tego Opatrzność dała nam rozum i doświadczenie życia. Aby sobie odpowiedzieć z pewnością na pytanie zajmujące nas tak żywo, pytanie najważniejsze i jedyne w życiu, nie dość ani rozumu, ani wiary; bo rozum nie poznaje pierwszych przyczyn, wiara bez uczynków jest martwa.—Życie, działanie, wprawienie w górę wszystkich władz naszych przez harmonijne umiarkowanie ich—o to co nam roztajemnicza zagadkę życia, prawdę myśli ludzkiéj. Gdybyśmy zresztą nic nie mieli na sobie, prócz dopełnienia

*) Tę niepodzielność, całostkowość duszy ludzkiéj pojmowali starożytni. Cycero tak wyraził myśl Platona: „Cum semper agititur animus, nec principium motus habet, quia se ipse moveat, ne quidem finem habiturum esse motus quia nunquam se ipse sit recititurus. Et cum simplex animi natura esset, neque haberet in se quisquam admitum, dispar sui adque dissimile, non posse cum dividi: quod si possit, non posse interire!"

konieczności praw natury, żyć trzeba, a w życiu ograniczać się, miarkować. Mądrość, ani wiara nie mogą być przeciwne naturze i sobie. Wszędzie harmonija—przez życie. Żyjemy podług głosu natury, bo ta wzniosła konieczność nie każe marnować rzeczywistych życia korzyści, ale stosować siły nasze dla ich gry, muzyki Stworzenia. Kiedy działać potrzeba zostawmy w zawieszeniu wątpliwości nasze i niezgodę rozumu z wiarą; co tylko chwilowo trwać może. Złóżmy z serca niepokoje i tłómaczmy przez konieczność rozumną wszystko, bo to najwznioślejsza Mądrość, głosząca prawdy życia—i żyjmy! żyjmy dla zaspokojenia koniecznych potrzeb życia, bo za to odpowiedzialność największa i jedyna czeka nas.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

USTĘP ZE SZKICU HISTORYCZNEGO:

JAXA ROBERTIN.

Złote marzenia rycerzy krzyżowych, niewinną szczerotę niewiadomości, zbyt szybko spłoszyło doświadczenie i ciężka życia nauka. Pełni zaufania i wiary w świętość swéj sprawy, cudu czekali.

Grecy na ruinach odwiecznéj oświaty byli ogniwem łączącém *Wschód* z *Zachodem*, ale jakby na szyderstwo z obu sąsiednich rodów wybrali wady, które ich swojém przygniotły brzemieniem. Byt ich był już tylko długiém konaniem życia zużytego zbytkami. Chcąc

świętą sprawę wojen krzyżowych na swój cel obrócić, zrobili z grodu Konstantyna bramę do świętéj ziemi, a miasto posiłków, krzyżowcom ofiarowali chytrość i zdradę.

Ciężkie hufce cesarza Konrada, pod skwarném Azyi mniejszéj niebem, okute w żelazo, walczyły dla nasycenia greckiéj chciwości.— W pojedynczych utarczkach kruszyli kopije dokazując cudów waleczności i siły;—ale w końcu niepokojeni od lekkiéj jak drapieżne ptaki turkomańskiéj jazdy, co na nich napadała i swobodnie uchodziła w góry, trapieni głodem, pragnieniem i chorobami, wszyscy wyginęli.

Wyprawa króla Ludwika, przez kłótnie dumnych, feudalnych wodzów, spełzła na czczém oblężeniu Damaszku. A tak, w niespełna roku, cały ogień zapału zbudzonego przez świętego Bernarda, niezliczone skarby, tysiące ludzi i wszystkie chrześcian nadzieje zgasły i jak czczy dym uleciały.

Rycerze zawiedzeni po walkach okropnych, a bez śladu jak ich krew wnet spiekłym zasypana piaskiem, zatrwożeni zarazą, tłumami wracali do Europy. Zostawiali tysiące bez pogrzebu i pamiątki poległych, lecz szczęśliwych, bo zbawionych; opuszczali tysiące nieszczęśliwych, bo w ciężkich więzach Mahometan.

Między temi ostatniemi był Jaxa Gryf Robertin.

W czasie nocnéj utarczki pod murami Jerozolimy, wycieńczony walką i ranami, broniąc swego pana Henryka księcia Sandomierskiego, dostał się do niewoli.

Po zbroi bogato złotem nabijanéj i hełmie wspaniałym, po wystawnym rzędzie konia a najwięcéj po nadludzkiéj odwadze i szlachetnéj postawie młodego rycerza, Turkomanie domyślali się, że znakomitego wzięli jeńca i troskliwie go pielęgnowali. Życie jego było skarbem; jeńców bowiem bogatym okupem wyzwalali chrześcianie.

*
* *

Nad skalistą i dziką doliną w pustyni, rozpalone powietrze drżącemi ulatało falami, chłodny powiew rzeźwił czoła i piersi znużone oddychaniem upału. Wieczór się zbliżał i karawana turkomańskich wojowników zatrzymała się u stóp gór. Góry jak pasmo wysp śród ska-

listéj pustyni, otoczone kobiercem zielonym, niby ogród cudowny nęciły do spoczynku. Tu natura w całéj pełni wschodniéj piękności, nieznająca umiarkowania, ze zbytkiem rozwijała swoje skarby.

Wielbłądy przyklękły i wszystko spoczęło. Wojownicy usiedli z twarzami na wschód zwróconemi i odbywali modlitwy. Jednostajny rozżarzony błękit nieba, stygnął i blednął, a odległe góry i szczyty Libanu zaiskrzyły się w zachodzie, jakby cały blask słońca zabierały na siebie.

Białe namioty powoli wznosiły się jakby z ziemi wyrastały i ogniska sączące cienkiemi i prostemi kolumnami dymu błyskały szeregiem. I nagle, jakby w zmianie dekoracyi, prawie bez wolnego przejścia, z dnia stała się cudowna noc—noc, jakie tam w Edenie być musiały i na pamiątkę raju tam tylko zostały.

Chociaż chmur nie było, to długie pasy kolorowych promieni, tęczowych, iskrzących jak drogie kamienie, igrało nad widnokręgiem; niebo całe szafirową, późniéj granatową ciemną oblekło się zasłoną, i gwiazdy jedna po drugiéj coraz szybciéj, coraz liczniéj wyskakiwały tysiącami niby ognie sztuczne—i niedługo po złotym słońca blasku, srebrne potoki rzeźwiącego światła oblały obóz Turkomanów.

Młody jeniec, co dotąd niedbale rozciągnięty na ziemi, obojętnie spoglądał na krzątanie się swych panów i nie zważał na zgiełk okoliczny, teraz jakby ze snu ocucony powstał i ciekawie z coraz większém podziwieniem spoglądał w niebo, i znów na ziemię; nigdy jeszcze widok cudnéj natury nie uderzył tak jego serca.

Europa i Azja oddawna z oczu się straciły; w krucyatach dopiero stanęły w obec siebie i to pierwsze spojrzenie przeraziło je.

Islamizm, religia młodsza wiekami a już zgrzybiała, około krucyat kończyła swoję drogę. Następcy przejmowali ją nie badając i w milczeniu wyznawali.—Przeciwnie Chrystyanizm religia, pełna nadziei i przyszłości, oceanem poezyi wzdymała piersi ludzkości. Islamizm, który w swéj dumie zuchwałéj, nie chciał pośredników między człowiekiem a Bogiem, wpadł w odmęt czczy i niezmierzony jak pustynia.—Chciał potępić ciało i wpadł w grubą zmysłowość jakby przekleństwo od wieków ciężącą nad Wschodem. I dla tego rozpadł się na sekty nawzajem się przerażające.

Boska Chrystusa nauka w uściśnieniu miłosném obejmowała i pochłaniała nawet biedne i szalone marzenia wyznawców Mahometa.— I żal było młodzieńcowi Machometan jak braci wędrowców zbłąkanych śród puszczy bez końca. Czuł się cały przeniknięty wiarą, miłością, wszystko ustąpiło obszerniejszemu uczuciu. W zapale natchnienia, w rodzinnéj mowie, głośno ślubował Bogu, że jeśli wyjdzie z niewoli, w swém rodzinném mieście wystawi świątynię Przedwiecznemu i klasztor, aby sławić uczynkiem i mową tego, który nam wyrzekł:—„kochajcie się."

Swobodniejszy, spokojniejszy spojrzał teraz do koła i w naturze taż cisza co w jego sercu i ten błogi spokój. Namiot jego pana, naczelnika pokolenia był pusty, strzegły go tylko kobiety, wojownicy w głębi obozu odbywali naradę.

Śród krzewów balsamicznemi okrytych kwiatami, tyle od wschodnich poetów sławione słowiki rozwodziły swe miłośne pieśni.—Raz bliżéj, to znów daléj odpowiadały chórem, aż odległe dźwięki głuszył szmer strumienia z gór spadającego, który niby wtórował całéj melodyi złożonéj z woni kwiatów, światła księżyca i srebrnego dźwięku ptaków.—Ta muzyka wieczoru kołysała roskosznie duszę młodzieńca i na anielskich skrzydłach marzeń unosiła go coraz wyżéj, gdy kilka łagodnych dźwięków arfy przypomniało mu ziemię, czy też raj ziemski. Obok niego stanęła niepostrzeżenie Zulema, najpiękniejsza dziewica arabska z całego pokolenia. Dumna córka dowódzcy, któréj staraniom był winien życie, dla niego była błagającą jego spójrzeń służebnicą. Białym owinięta płaszczem, za całą ozdobę służyły jéj hebanowe wstęgi włosów, za wszystkie klejnoty jéj oczy iskrzące świetniejszym od dyamentów blaskiem—a wydawała się w owéj chwili młodzieńcowi, jako geniusz pustyni śród oazy panujący. Zulema oddawna ze szczerotą i niewinnością, a razem z ogniem właściwym dzieciom pustyni błagała Jaxę o miłość.—On teraz z sercem tak przepełnioném, był jednak głuchszym niż zwykle na jéj namiętne odezwy.—

Jednobrzmiące a przenikające smętne tony arfy czasem w dzikim i nieharmonijnym zwrocie towarzyszyły wyrazom przepełnionym uczu-

ciem. Podwoiło się bicie jego serca, bo wspomnienia je ożywiły. Zulema śpiewała.

*

* *

Czy widzisz kochany! ziemia wiosenną oblekła się szatą.—Natura cała stroi się do uczty wiosennéj.

Tulipan stał się pucharem wina z którego cudowne czerpnięto wyrazy, a róża się stała pięknością i roskoszą kochanków. Słowik rozgłosem swych pieśni radośnych jest muzykiem, on przewodniczy tańcowi.

Chodź do Edenu natury;—ni ty, ni ja nie urządziliśmy tego, a jednak wszystko do roskoszy nas wzywa.

Od chwili jak róża uchyliła zasłony kryjącéj jéj lica, narcyz stał się okiem aby ją podziwiał. Zieloność zastąpiła czarne ciernie—lecz ty ubóstwiany, drasnąłeś serce moje cierniami, co dotąd boleść sprawiają.

Otwórz oczy i patrz na kwiaty—oto narcyz, rzekłbyś że naszyjnik plejadów około słońca, albo złoty kubek w ręku piękności ze srebrnemi rękoma.

Fijołek upokorzył się i schronił głowę pod płaszcz kolorowy, który go nakrywa: zdaje się iż majowa zieloność tworzy kobierzec pod jego stopami do modlitwy.

Patrz na ten obłok wiosenny z jego to łaski niwy okryte są perłami i dyamentami rosy.—Lecz mylę się; oto król natury w uniesieniu dobroci pod sklepieniem z kryształu zarzucił namiot przeznaczony do roskoszy.

I ty ukochany nigdyż nie zrozumiész mnie—nigdyż nie odpowiész biciu serca mego?—A przecież Bóg je sam ku tobie zapalił miłością?

*

* *

W obozie gwar na nowo powstał i śpiewy zagłuszył, wódz wracał do namiotu a za nim inni naczelnicy i więźniów zarazem wszystkich sprowadzono. Spólnicy niedoli smutnie się witali, obojętnie słuchając obelżywych wyrazów Arabów.—Ich narady skończone i oddział jeden wysłano na zwiady, ważniejszą gotując wyprawę; tymczasem biesiada miała skrócić czas i ożywić Turkomanów.

Posiadali na rozesłanych kobiercach, ogień żwawiéj zabłysnął i oświecił ponure i srogie ich twarze, kobiety jadłem i napojem traktowały przybyłych. W końcu jeden z Arabów, co dotąd w cieniu na ustroniu siedział, przybliżył się i wstąpił do koła. Broda jego rozczochrana, czarna, gdzieniegdzie siwiejąca, oczy ogniste głęboko zapadłe, nos wielki i orli, a usta ściśnięte dawały mu wyraz sępa; ręce obnażone żylaste jak szpony spoczywały na dwóch rękojeściach sztyletu i miecza.—Powiódł okiem dokoła i wszystkich spojrzenia zabłysły.—Był to śpiewak, poeta—wyrazem i czynem—chwała pokoleniu do którego on się raczył przyłączyć. Przed nim wojna, za nim śmierć w ślady leciały. Wspomnienia jego pieśni i jego walk odbytych, piersi Arabów zapalały nadludzkim płomieniem. Długo już nikt o nim nie słyszał, dziś pierwszy raz się zjawił.—Arabowie słuchają ciekawie. Wódz skinął i dwie dziewice wzięły arfy do ręki, usiadły za kołem i brzęknęły w struny.— Śpiewak zaczął—niby mówił, niby śpiewał, ale słowa płynęły potokiem i trafiły do serca słuchaczy, a z serca po żyłach rozbiegały się z ogniem i w spojrzeniach, i w ruchach namiętnych do walki wzywały.

* * *

Śpiewak nie mógł dokończyć, bo mu wrzawa wojenna przerwała. Wszyscy wściekle miotając orężem, śród wykrzyków zajadłych na konie siadali.— Czaty znać dały.— Zdaleka czarna, żywa posuwała się linia—rosła, w kształty rozwijała się jak ów ptak olbrzymi tyle we wschodnich sławiony powieściach.

Arabowie na przeciw pobiegli—krótka noc już téż mijała—i nim kurz z pod kopyt rozchwiał się w powietrzu, Robertin ujrzał pierwszemi słońca promieniami pozłocony biały sztandar z czerwonym znakiem Zbawiciela. Słońce odbiło się w zbrojach, unoszące się płaszcze rycerzy jak skrzydła aniołów wydały się jeńcom. Padli na kolana i wspólnemi modłami Przedwiecznego błagali o uwolnienie.— Modły ich mięszały się z okrzykiem wojennym—i Bóg ich wysłuchał.

J. B.

O LUDOŻERSTWIE.

Pomiędzy wielą zadaniami, których rozwiązanie najmocniéj obchodzi ludzkość, jest jedno długo roztrząsane i przez wielu naturalistów, a dotąd nierozwiązane, które jakkolwiek zdaje się być w sobie proste i pewne, nie jest jednak takiém z przyczyny sprzecznych a silnych dowodów, które dają się użyć rozbierając je szczegółowie; tém zadaniem jest następne:

Czy człowiek należy do szeregu zwierząt i jest tylko ostatniém kończącém ogniwem łańcucha organicznego przykutego do ziemi—czy stanowi istotę innéj natury i innego przeznaczenia?

Gdziekolwiek będziem uważali człowieka pojedynczego, zadanie powyższe wyda się nam dwoistém i niepewném; tyle bowiem jest szeregów od człowieka nieróżniącego się od zwierząt, do człowieka-geniusza, że prawa jednego będą zawsze przeczeniem praw drugiego.—Ale patrząc na całe massy ludów tak osobno uważane jak w stosunku do całéj natury—patrząc na te massy organicznych istot mających początek, bieg i koniec podobny do tworów innych, któremi on gardzi—biorąc te massy ludzi w czasie i przestrzeni i zastanowić się nad ich tylko ogromem,—o! to smutna myśl musi nami owładnąć i powiemy tylko: człowiek należy do szeregu zwierząt!— Jednakże tak nie jest—dosyć jest zastanowić się nad dowodami przeważającemi materyalizm, żeby pojąć całą jego niedostateczność w tłumaczeniu fenomenów bytu człowieczego—dowody te jednak niewystarczają, bo są zanadto spiritualne, nadto pozbawione empiryzmu, a więc

niedostateczne dla istot tak jak człowiek empirycznych—jedyny więc sposób pozostał obalenia idei *uzwierzęcenia człowieka* przez rozebranie szczegółowe dowodów, które na to zwykle przez naturalistów były lub są dotąd używane.

Tu należy zatém obalenie następnych idej:

1. Organizm człowieka niczém się nie różni od organizmów innych zwierząt—jest więc tylko organizmem sui generis.
2. Organizm człowieka nie jest wyższy od zwierzęcego, tylko systematyczniejszy—bo nawet przeciwnie, zwierzęce organizmy na niektórych punktach przewyższają człowieka.
3. Rozum człowieka jest instynktem sui generis—bo i w zwierzętach instynkt przez wychowanie wznosi się do stopnia rozumu, jak nawzajem w idiotach rozum spada niżéj instynktu.
4. Przeczucia człowieka o bycie swym wyższym i celach wznioślejszych są zawsze tylko przeczuciami i za dowody służyć nie mogą—a któż wié czy i zwierzęta podobnych nie mają?
5. Wszystko co odnosimy do duszy i tłumaczymy hieroglifem *dusza*, możemy tłumaczyć wyrazem *nerwy*.
6. Pojęcia wyższe człowieka aż do ducha proroczego, czyli zwalczenie przez umysł jego czasu i przestrzeni—ten fenomen tak rzadki między ludźmi a jednak stanowiący jeden z ważnych dowodów ich życia wyższego, jeszcze częściéj może zdarza się między zwierzętami.
7. Człowiek bez wychowania społeczeństwa, niczém się nie różni od zwierząt—traci ideę bytu nieśmiertelnego, religija jego, jest wtedy tylko dowodem jego trwożliwości i ogranicza się do bóstwa okrutnego—traci pojęcie godności człowieka i gotów jest pożréć swojego brata nawet niepowodowany głodem, lecz dla zwierzęcéj przyjemności.
8. Stosunek ludzi w bycie, nieokrzesanie i niepojęcie idei ducha a tém bardziéj wewnętrznego o niéj przekonania, do ludzi mogących przeciwważyć duchowémi swemi pojęciami jest tak uderzający, iż każden przyzna, że liczba ludzi-geniuszów do ludzi-zwierząt jest przynajmniéj jak 1 : 100,000; a i geniusz ten je-

den jeszcze może dla tego jest geniuszem, że organizm jego zwierzęcy nie sprzeciwia się temu, więc i tu nawet wątpliwość!
i t. d. i t. d. i t. d.

Przychodząc do dwóch tych ostatnich punktów tak boleśnie dotykających serce człowieka myślącego, nie możemy dodawać innych, wystarczy i tego dla ubicia wiary i nadziei w duszy słabéj—i one twarz fałszywego mędrca potrafią wykrzywić piekielnym uśmiechem zadowolnienia jaszczurki szczęsnéj, że kędy przeszła uwiędła zielona łąka.—Odrzucając więc inne na stronę, zastanowimy się nad temi dwoma; szczęśliwi! jeśli obalémy te dwa filary ponuréj jaskini ważącéj się okryć ciemnością naszą nieśmiertelność!

Nic w istocie nie masz smutniejszego nad obraz człowieka w jego najwyższém upodleniu umysłowém, w całéj zwierzęcéj dzikości.—Dosyć jest przypomnieć gorzką ironię Siorfta, w któréj, koni wyżéj stawia nad ludzi, żeby uczuć całą małość człowieka w jego stanie uzwierzęcenia—wówczas dopiéro pokaże się bezwzględna nicość jego skoro go sprowadzim do saméj tylko wartości materjalnéj.— Czémże będzie wtedy organizm ludzki? tkanką nędzną—niedokładnym zlepkiem organów zdolnym tylko ukształcić idiotę. Ta idea Siorfta smutna i ironiczna zdająca się na pozór podpierać teorję materjalizmu, zdająca się być protestacyą zwierząt w obec ludzi wygraną przez zwierzęta, jest jednak w istocie nowym dowodem jego natury wyższéj—gdyż tłómacząc rozwinięcie się człowieka tylko jednostronne, wywodzi we wniosku, że ono tworzy twór niedokładny—czyli co jedno jest, że człowiek rozwinięty o ile zwierze jest tworem chorobliwym—że dopiero rozwinięcie jego ducha wznosi go nad zwierzęta—że to rozwinięcie ducha nie może być uważane za sztuczne i niemające początku swego w naturze—owszem jest ono naturalne, jest ono nawet jedynym warunkiem istoty człowieka, a w samym swego rozwinięcia szczycie uważane wznosi go nad siebie samego, zbliża do bóstwa.—Rozwinięcie to ducha ludzkiego jest tak potężne tam nawet, gdzie je spotykamy w jego najmniejszości—że wszystko co najmocniéj go plami, co zdaje się równać go ze zwierzęty, jeśli bliżéj się przypatrzymy, pochodzi z przyczyn zupełnie przeciwnych; *że nieraz w skrzywionych poję-*

*ciach duchowych leży upodlenie robiące człowieka zwierzęciem.**) Przezierając daléj społeczeństwa najmniéj uorganizowane prawie w stanie pierworodnéj zdziczałości, nie tylko iż nie znajdziemy wysokiego rozwinięcia się organów czysto zwierzęcych sprzyjających wysokiemu ukształceniu materjalnemu organizmu, ale przeciwnie organizm mdły, budowa nędzna—w ogóle bezsilność organiczna będzie zawsze znakiem najniższości ukształcenia umysłowego.—Zdziczałość jednak zupełna, jest ideałem nie mającym sprawdzenia na świecie—chyba najrozumniejsza małpa będzie nazwana takim człowiekiem—absolutyzm materjalny jest tu tak urojeniem, jak absolutyzm duchowny, któryby chciał widzieć społeczeństwo tak duchowém, iżby przestało ulegać pierwszym prawom fizycznym jak ciążenia: absolutyzm jednak tą razą pierwszy jest straszliwszym od drugiego, bo o tyle cofa człowieka, o ile ten naprzód prowadzi. Dla przekonania się jak nieraz największe piętna upodlenia zwierzęcego cechują całe ludy niezdzierając z nich jednak piękněj szaty ducha—jak następnie zarodek téj degeneracji nie rozrasta się niby pleśń brudna z braku słonecznych promieni ducha i nie może być dowodem podpierającym teorję zwierzęcości człowieka; oględniemy tu szczegółowie jednę z tych plam głęboko i szeroko plamiących ciało społeczeństwa—jednę z tych zbrodni lęgniących się w chorowitych żądzach organizmu—a nieraz niestety w bardziéj jeszcze zepsutych pojęciach ducha.—Zbrodni téj religija i najniższa potrzeba zwierzęca, żołądek, apetyt, podają zarówno ręce—jedna i druga mają tu zarówno swoich zwolenników, zagorzalców i męczenników, siły swe natężają, aby tę ohydną zbrodnię już tak wkorzenioną przez nałóg wieków utrzymywać daléj—tą plamą, tą zbrodnią codzień powtarzaną z okrzykami szczęścia godnego cnoty jest *Ludożerstwo*, *kannibalizm*, *Antropofagia.*

Ludożerstwo nie może być uważane za rzecz małą w historji rodu ludzkiego już dla tego, że ono jest bardzo często tylko wyższym stopniem fanatyzmu składającego na ołtarzu Boga miłości, ofiary zemsty i męczarni—a jeżeli pomyślimy że Odin, Jowisz, Ozyrys, Brahma

*) *jak nawzajem najdziksze społeczeństwa nie są pozbawione często pojęć duchownych jakkolwiek monstrualnych.*

sam nawet Jehowah potrzebowali spełnienia tych ofiar—że ludożerstwo jest nieraz tylko przekształceniem się tego fanatyzmu ucywilizowanych ludów—wtedy nie tylko iż nie będziemy za mało to cenili, ale dorzucim do warunków stanowiących prawa rodzaju ludzkiego ten jeden smutny artykuł: *Człowiek jak z jednéj strony w najwyższości swego ducha uważany jest istotą szanującą bóstwo w swoim współbracie człowieku* co tak pięknie moralna idea Chrystusa maluje: kochaj Boga nadewszystko, a bliźniego jak samego siebie; *tak znowu z drugiéj strony upadłszy na najniższy szczebel ducha, najmniéj to prawo szanuje* i działa jakby odwrócił słowa Chrystusa i mówił: kochaj siebie nadewszystko, a bliźniego zabijaj z nienawiści. W tym smutnym stanie moralnym człowiek traci idee duchowne, boskie, a wpada w nałóg czysto materjalnych—że zaś najniższością między niemi jest zwierzęce karmienie się—*więc ona staje się treścią jego istnienia*, a połączona z ideą mniéj więcéj wyrozumowaną, (bez czego człowiek przestałby być człowiekiem) *nieuszanowania praw człowieka, nieuszanowania w nim bezwzględnie bóstwa, przekształca się w tę okropną zwierzęco-umysłową chorobę pożerania swoich współbliźnich, którą, jak tylko się zjawiła, już sam nałóg wystarczy do utrzymania: że następnie człowiek jest istotą wszystkożerną, niewyłączając siebie nawet.*

Ludożerstwo oddawna było znajome ludziom—a jako świat jest stary, tak i ono, tak i powieści o niém—powtarzane, raz jako bajki, znów z całym zimnym racyonalizmem dowodów; za bajkę też, lub upartą prawdę przyjęte, nigdy jednak nie było pod wyłączną uwagą naturalistów.— Dziś jeszcze—dzisiaj kiedy prace tylu uczonych podróżników oznajmiły nas z braćmi podrównikowemi i przybiegunowemi, dziś wielu zaprzecza istnieniu kannibalizmu w społeczeństwie, uważając fakta niezaprzeczone za wypadki wyłączne niestanowiące ogólnego prawidła, będące tylko dowodem istnienia ludożerstwa jakby jakiej moralnéj choroby—jest to wedle nich niby owe chorobliwe zboczenie żądz żołądka (pica, malacia), które każe choremu jeść rzeczy przeciwne jego budowie i naturze. To jednak co następnie rozwiniemy, stanie nam za dowód, że ludożerstwo jest charakterem nieraz wielu ludów, dzisiaj nawet jeszcze, a było niegdyś ogólnie przyjętém

po całéj prawie Afryce, Ameryce, Azyi, Oceanji, a nawet w Skandynawskich plemionach Europy. — Przebiegniemy więc po porządku historyę kannibalizmu we wszystkich jego odcieniach i stopniach; opisy nasze będą po większéj części wyjątkami znakomitych podróżników, jako: D'Urville, Liddiarda Nicholas, Marsden Cook, Croset, Kandall i wielu innych z których prac radzibyśmy wyczerpnąć wnioski broniące ile możności duchownego charakteru ludzkości, nawet w téj okropnéj zbrodni stanowiącéj ostatni szczebel *nieszanowania bóstwa w człowieku*, któréj pierwszym mniéj okropnym, bo może zręczniejszemi sofizmami pokrytym jest *kara śmierci* jaką społeczeństwo wymierza na jednego z swoich członków, niepomnąc że wolno mu tylko członek szkodliwy odrzucić, zrobić niezdolnym do szkodzenia, ale nie zniszczyć.—Społeczeństwo gra niestety nieraz rolę Boga!—to też błędnie—bo rola za ciężka.

Nigdzie ludożerstwo nie było i podobno dzisiaj jeszcze nie jest tak rozszerzone jak w Nowéj Zelandji.—Nowa Zelandija złożona z dwóch wysp rozdzielonych wązkim kanałem, posiadająca ziemię wprawdzie nienajbogatszą ale téż i nieubogą, oddawna już nęciła do siebie Europejczyków, którzy na niéj, pomimo całéj swéj wyższości rozumu, niejednokrotnie ulegli smutnemu losowi. Znakomity *Tasman*, który pierwszy ją zwiedził już ucierpiał od krajowców—przybiwszy do brzegów dla znalezienia wody i pożywienia, stracił kilku ludzi, których krajowcy zdradziecko napadłszy, zamordowali i zjedli; zwrócił więc w inną stronę żagle, nazwawszy wprzódy dla smutnéj pamięci miejsce to pamiętne *zatoką morderców*. Po nim nieustraszony kapitan *Cook* pierwszy odważył się mieć związki z tymi, jak ich nazwano, krwawymi ludzmi; kilku ich złapał przemocą i obdarzywszy podarunkami, wypuścił, tym sposobem zyskawszy ufność krajowców potrafił robić z niemi korzystne zamiany.—*Cook* przez łagodne obchodzenie się zyskał tyle, iż mógł zwiedzić nawet niektóre wewnętrzne części wyspy, oznajomił się z ich osadami wojennemi (pa) zostawiwszy na ich umyśle najlepsze wrażenie. Po nim *Surville* burzą zarzucony tu szukał schronienia; szalupa jego na któréj byli chorzy, została zagnaną pod jednę z osad krajowców, którzy rozbitków przyjęli gościnnie, ale szalupę schowali. Surville nie mogąc jéj odzyskać, kazał ści-

gać ufnych krajowców, zniszczył ich kilka łodzi i spalił wsie, które mu były pod ręką. Ten barbarzyński postępek smutne miał następstwa—krajowcy bowiem zamordowali i zjedli Francuzów, których wprzódy ugoszczali i niepozbyli się odtąd nigdy nieufności względem Europejczyków, których zawsze uważali za gotowych do zemsty i tego tylko szukających, sądząc, wedle zwyczaju sobie właściwego.

W 1472, kapitan *Marion du Frene* przybił do nowéj Zelandyji i razem z częścią swoich został zamordowany.— Oto jest opis kapitana Croset tego nieszczęśliwego wypadku: Croset opisuje naprzód całe przyjacielskie ujęcie sobie krajowców, ich wzajemne stosunki z Marionem, które do tego doszły, że sam kapitan wraz z innemi nielękał się nieraz nocować między dzikimi: „W kilka dni po naszém przybyciu (mówi kap. Croset) p. Maryon robił wycieczki wzdłuż i wszerz brzegów, szukając drzewa zdatnego na maszty do okrętów Castries; wszędzie mu towarzyszyli dzicy. 23 maja p. Maryon znalazł wspaniały cudowny bór, położony o dwie mile w głąb kraju i najbliżéj zatoki, zkąd około półtora mili było do okrętu."

Tam tedy uformowano fabrykę, do niéj przeniesiono dwie trzecie osady okrętowéj, z toporami i z innemi narzędziami potrzebnemi do walenia drzew, robienia masztów i ukształcenia drogi przez trzy wzgórki i małe bagno, które trzeba było przebywać.— Francuzi mieli trzy stanowiska; dzicy wszędzie z nimi byli razem, niekiedy im nawet dopomagali, dzielili się wszystkiém i do tego stopnia zyskali ufność: że wielu z okrętowych ludzi nieraz zapuszczało się w głąb kraju bez najmniejszego niebezpieczeństwa, także w końcu i sam Maryon kazał rozbić szalupy i okręt kiedy wychodzili na wyspę. Miesiąc z górą trwały te tak dobre związki z dzikimi. —„Dnia 12 czerwca—mówi daléj Croset—o drugiéj po południu, dowódzca Maryon zeszedł na wyspę z 12 uzbrojonymi ludźmi i dwoma młodymi oficerami pp. Vaudricourt i Lelioux—Takuri naczelnik największéj wsi, inny naczelnik i 5 lub 6 dzikich będących na okręcie towarzyszyło p. Maryon, który się wybrał na ostrygi. Wieczór nadchodzi, p. Marion nie wraca jak zwykle do okrętu.—I chociaż nikt nie powrócił, nie troszczono się, ponieważ aż nadto ufano gościnności dzikich; myślano tylko, iż p. Marion zapewne nocuje w którym ze swych domków chcąc nazajutrz być łatwiéj

i prędzéj w fabryce będącéj tylko o dwie mile ztamtąd, gdzie pracowano nad masztami okrętu Castries. Maszty te już prawie były skończone i częścią przeniesione na brzeg; w téj ciężkiéj pracy dzicy ciągle nam pomagali. Nazajutrz 13 czerwca o 5 z rana, okręt Castries wedle zwyczaju wysłał szalupę dla dostania wody i drzewa potrzebnego do użytku dziennego.—O 9téj godzinie spostrzeżono człowieka płynącego morzem ku okrętowi, posłano po niego natychmiast łódź, aby mu pomódz i wysadzić na pomost. Był to wioślarz, który sam jeden ocalał z rzezi swych współbraci.—Był dwa razy raniony w bok i cały zbity.—Rozpowiadał: iż jak skoro szalupa przybiła do brzegu o 7 z rana, dzicy zbliżyli się do brzegu bez broni ze zwykłemi oznakami przyjaźni, którą zwyczajnie okazywali przenosząc na barkach majtków, którzy lękali się zmoknąć; i tą razą jak zwykle pokazali się dobrymi towarzyszami—lecz skoro majtkowie rozdzielili się aby poosobno uzbierać drzewa, wtedy dzicy uzbrojeni obuchami, maczugami i pikami, rzucili się na nich z wściekłością, po ośmiu do dziesięciu, i wszystkich zamordowali; on zaś nie mając na siebie więcéj jak dwóch albo trzech dzikich, zrazu się bronił i odebrał dwie rany piką, lecz widząc zbliżających się do siebie innych a będąc blisko morza, uciekł i skrył się między krzaki—ztamtąd widział jak zamordowano jego towarzyszy, których dzicy po zabiciu obdarli, otworzyli brzuchy i porąbali na kawałki, gdy tymczasem on dopłynął okrętów."

Daléj opisuje Croset jakim sposobem uratował resztę załogi okrętowéj i następnie wyszukiwał śladów zamordowanego kapitana.—Francuzi pomścili się niszcząc wsie sąsiednie i zabijając kilku dowódzców dzikich; chciano też kilku żywcem dostać, ale się nie udało, dzicy bowiem tak byli rozjuszeni, iż postronki któremi ich wiązano, rwali jak nitki.—Wszystkie poszukiwania na tém się skończyły, iż znaleziono w jednéj chacie koszulę należącą do kapitana skrwawioną i podziurawioną i kilka innych znaków popełnionego morderstwa. Morderstwo to jednak jakkolwiek obrzydliwe, bo połączone ze zdradą, jest raczej wypadkiem fałszywego pojęcia honoru jakie mają dzicy, aniżeli zbrodnią zwyczajną. Obowiązkiem bowiem najświętszym dzikich nowéj Zelandji jest pomścić się za śmierć swoich krewnych.

Śmierć Mariona, jak powiada Dumont D'Urville, była niczém więcéj, tylko pomstą za zniszczenia, które poczynił niegdyś Surville.

Trzy razy późniéj sławny *Cook* był w Zelandji, zawsze gościnnie przyjęty, następnie Baaden przepędził tam 6 miesięcy dla polowania na wieloryby. W tymże czasie Doua-Tara jeden z wodzów Nowéj Zelandyi poznajomiwszy się z Anglikami, odpłynął z nimi razem do Anglii z ciekawości widzenia króla Jerzego.—Biedny ten i szlachetny dziki prześladowany przez kapitana okrętu na którym jechał, przepłacił wszelkiego rodzaju nieszczęściami za ufność z jaką się oddał w ręce Europejczyków. Łagodność jednak jego charakteru, dobroć wrodzona i żądza gorąca zostania pożytecznym swoim współziomkom przez poznanie i naśladowanie tego w czém Europejczycy celowali, kazała mu zapomnieć ponoszonych cierpień.—Dosyć jest czytać opisy zacnego Missionarza Marsden, ażeby zrozumieć do jakiego stopnia wysokości moralnéj wzniósł się ten dziki i czemby mogli zostać jego współziomkowie, gdyby nie egoizm europejski, szukający wszędzie zysków tylko własnych i przywodzący w końcu do nieufności najufniejszych pierwéj.

E. Galli.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORRESPONDENCYA.

—

DO REDAKTORA PRZEGLĄDU NAUKOWEGO.

Znane ci jest szanowny Redaktorze! moje spokojne usposobienie, że nienawidzę wszelkich kłótni a najbardziéj literackich; brzydzę się polemiką, a anatomia krytyki nie ma dla mnie nic zajmującego; i dla tego zdziwisz się zapewne, że poraz pierwszy w piśmie mojém wchodzę na drogę analizy i posyłam ci kilka uwag jakie nastręczyły mi się przy odczytaniu powiastki P. W. Mańkowskiego: *W kraju i za granicą.*

Zapewniam cię, że nie byłbym wystąpił na tém polu, gdyby nie paszkwil, gdyż powieścią nazwać się nie godzi rzeczy bez związku, jakiejś klejonki arlekińskiéj.

O ile sumienna prawda wymówiona w oczy towarzystwu jest pożądaną i dobre wywiera skutki, o tyle potwarz dowodzi tylko szczególnéj złośliwości i staje się owym, wedle średniowiecznych pojęć, szatanem wszystko burzącym a nic nie budującym.

Powieść p. W. M. ma być obrazem naszéj społeczności warszawskiéj—przyjrzyjmy się temu obrazowi i porównajmy go z rzeczywistością.—

Bohatér powieści, blada figura ukraińska, niby Don Juan i niby nie Don Juan, istota, która nie wiem jakim sposobem nogi włóczy za so-

bą, tak w niéj brak życia, (autor dowodzi, że na niego wpłynęło miękkie wychowanie kobiece) w ułomnościach nawet swoich nieokreślona, nie sprawująca najmniejszego na czytelniku wrażenia, przyjeżdża do Warszawy, gdzie znajduje opiekunów nowych w miejscu tych, którzy opiekowali się nim na Ukrainie, a mianowicie w miejsce p. Leona Rzędziny i Cześnika, ludzi bardzo postępowych, jak autor zapewnia, bo powieść na nich bardzo krótko się zatrzymuje — pod opieką mówię nowych protektorów wchodzi p. Teodor w salony warszawskie, wprowadzony przez p. Ludwika pseudofilozofa wystawionego przez autora jako bohatera, a późniéj jedną śmiesznością strąconego do karikatur.....

Autorowi naszemu wszystko kołowało się w głowie, bo w opisie towarzystwa warszawskiego nie widział żadnéj różnicy między istotą a dodatkiem do bożego stworzenia, które dla tego właśnie że jest nie naturalnem, jest szpetnem.

Otóż jedno z drugiém pomięszał i przeto rzucił paszkwil na dobre, czém wywołał wilka z lasu—niechże więc słucha nie bardzo harmonijnéj pieśni.— Zastanawiam się najdłużéj nad tą częścią powieści, bo dla niéj tylko wziąłem pióro do ręki—zastanawiam się nad częścią kaznodziejską, bo co się tycze wątku powieści, blady i niezasługujący na poważniejszy rozbiór, zaledwie wywołać może ujemne wspomnienie.

Nasza literatura warszawska nie obfituje prawda w arcydzieła, ależ arcy-dzieła nie przychodzą na zawołanie i na głos myśliwskiéj trąbki pana M. knieja nie odpowie echem—Sumiennie jednakże na rzecz spojrzawszy, i inne prowincye nasze nie wiele produkują intellektualnych wyrobów, bo oprócz dijamentu w błocie autora pamiątek Starego szlachcica i pana Kraszewskiego nic się postronnie więcéj nie objawia. Warszawa za to zastawia się przeciw pociskom postronnym uznanym talentem Korzeniowskiego, Zielińskiego, Wojcickiego, Tyszyńskiego; z młodych J. B. D. Lenartowicza, i Narcyzy Żmichowskiéj—zaprawdę tych autor nie widział u Marego.

Nie darowaną jest rzeczą spotwarzenie całości dla cząstki zepsutéj, ale wróćmy do bohatera powieści: zrzuciwszy z serca to co mnie

bolało, z zimną krwią i bez uprzedzenia idę za p. Teodorem przez cały ciąg wodnistych miłości w Baden—miłości nagannéj zakończonéj śmiercią pana Teodora i małżeństwem panny Anieli, któréj matka dla tego nie wydaje jéj za ukochanego, że Ks. Artur, chytra sztuka i karciarz ma pierwszeństwo przed szlachcicem—pierwszeństwo uznane przez autora, bo charakteru matki nie wystawia w właściwém świetle, nie ukazuje ile upor głupoty wpływa na życie człowieka, a podobne wyobrażenia jak pani matki, z łaski Boga czas już nieco uprzątnął, ukazując całą nicość podobnych okopciałych i woń zgnilizny wydających trupów towarzyskich.

Cały tom 2gi u wód—codzień wody,—woda, osiołki i miłość blada bez namiętności, tylko dla zabicia nudów.

Co to za piękna figura ta panna Martin (niemowa), a jakie głębokie uwagi nad filozofomaniją berlińską!—kto chce tanim kosztem nauczyć się mądrości niech przeczyta co to p. Teodor umie i jak głęboko na rzeczy się zapatruje!

Nareszcie po tych wodach dopływamy do brzegu, i jakiż rezultat naszéj podróży?—oto, że p. Teodor mazgaj, Ludwik abstrakt, półwarjat, Natalija romantyczka, zprozaiczona kochanka Petrarki, a Leon Rzędzina człowiek przyszłości, i dla tego w teraźniejszości go nie widać. Czego chce autor?—oto ludzi takich jak Leon—prosimy o niego, niech nam go pokaże—w powieści nie widzieliśmy go prawie, bo kilka listów krótkiéj treści i parę scen na zabawach, nie określają obywatela wedle wszelkich wieku wymagań.—Język w powieści nie bez galicyzmów, a pretensijonalność oburzająca.

T.

KRONIKA PISMIENNICZA POLSKA.

Pieniądze Piastów, od czasów najdawniejszych do roku 1300, *rozbiorem źródeł spółczesnych i wykopalisk, oraz porównaniem typów menniczych objaśnione.* — Str. 340 i 22, w 8ce. — W Warszawie, w drukarni Kommissyi Rząd. Sprawiedliwości.

Ważne to dzieło, w zakresie badań archeologicznych, a mianowicie dla numizmatyki polskiéj, napisał K. Stronczyński, jako prawdziwy znawca i miłośnik tego rodzaju pracy.—Wykonał ją sumiennie, nie ustraszony bynajmniéj rozlicznemi mozołami, których uniknąć niepodobna, a szczególnie tam, gdzie szło o wykrycie prawdy, na gruncie bardzo mało przez poprzedników tkniętym.—Druk przeplatany wyobrażeniami monet, w miejscach gdzie jest o nich mowa, objaśniony jeszcze został starannie wykonanemi przez autora 36ma rytami i mapką z wyszczególnieniem miejsc, w których pieniążki piastowskie zostały wykopane.—Dzieło to obejmuje: 1ód Literaturę przedmiotu i rozbiór źródeł spółczesnych, w których się świadectwa o monecie Piastów znajdują; — 2re Opisy z krytyką i rozbiór 32ch wykopalisk, które piastowskich pieniążków dostarczyły.—W trzeciej części, rozebrane są i porównane typy mennicze piastowskie pod względem sztuki i rysunku, wykazane ich podobieństwo tak pomiędzy sobą, jako i z monetami zagranicznemi, które im za wzór służyły.—W czwartéj nareszcie rzucony ogólny zarys dziejów menniczych pod Piastami i pojedyncze typy opisane i uporządkowane chronologicznie.—Szanowne te szczątki z czasów pierwszéj dynastyi królów polskich, jako najwymowniejsze pomniki dziejów narodowych, zwrócą bezwątpienia na siebie uwagę prawdziwych znawców i niezawodnie wywołają istotne ocenienie, na jakie tak mozolna praca zasługuje.

Pierwsze przedstawienie Hamleta. Poemat dramatyczny w czterech częściach przez T. L.— We Lwowie. Nakładem Jana Dobrzańskiego. W drukarni Piotra Pillera. 1847, str. 71, w ósemce mniejszéj.

Prawdziwa to poezija, nacechowana niepospolitym talentem młodego wieszcza naszego. Sądzimy, że nie obrazimy skromności autora, odkrywając jego miano, które już nieraz w piśmie naszém wspomniane było. Niejeden jego utwór niejednę już stronnicę Przeglądu ozdabiał. Teofil Lenartowicz, trzymający pierwsze miejsce w pośród młodych wieszczów warszawskich, znany był dotąd czytającéj powszechności z samych urywków, nie tylko u nas, ale i w Bibliotece Warszawskiéj, we Dzwonie, i innych czasopismach wytłaczanych. Teraz zaś wystąpił ze swą pracą w obszerniejszym zakresie, w obsłonkach poważniejszych. Rzecz sama godnie odpowiada nazwie—a wykonanie, ramom poematu dramatycznego. Nie kładziemy tu treści, aby nie psuć wrażenia czytającym i effektu, jaki całość sprawia. Nie przytaczamy też wyjątków, bo chcąc piękniejsze wypisać miejsca, musielibyśmy całą niemal przedrukować książeczkę, jak to np. uczynił redaktor *Dzwonu z Sową*. Dość wszakże dokładne damy wyobrażenie o tym wzniosłym utworze, kiedy z głębi przekonania wynurzymy zdanie nasze, iż *Pierwsze przedstawienie Hamleta*, będzie może pierwszym dowodem na zbicie błędnego mniemania, które poniekąd jest odgłosem i Biblioteki Warszawskiéj, jakoby na niwie Warszawskiéj przestały już wzrastać bujne wyobraźni i piękna twory—jakoby piewcy u nas bądź zaniemieli, bądź już całkiem zamarli.

Athenaeum pisma wydawanego przez J. I. Kraszewskiego, odebraliśmy już cztery zeszyty na rok bieżący, ale to drogą nie księgarską, gdyż p. Teofil Glücksberg z Wilna zaledwie nam po kontraktach kijowskich też zeszyty przyszle. Przytaczamy tu wyjątek z listu Redaktora J. I. K., w ostatnim zamieszczonego poszycie:

„Zapytujesz mnie czy nie zraziłem się zapowiedzianemi zewsząd dziełami o sztukach w Polsce, o malarzach naszych, od ukończenia zapowiedzianego Słownika artystów krajowych. Pozwól sobie od-

powiedzićć naprzód, że chyba znasz mnie bardzo mało sądząc, że współzawodnictwo od pracy mnie odstręczyć potrafi. I owszem, zapowiedziane zewsząd dzieła Sobieszczańskiego, Rastawieckiego, Skimborowicza, Soczyńskiego i t. d. w moich oczach są tylko dowodem dającéj się czuć potrzeby podobnego zbioru. Zbyt już wiele uczyniłem abym się mógł cofnąć; przekonany jestem, że pomimo wielkich zalet obiecywanych nam dzieł, moje będzie miało swoje korzyści dla lubowników sztuki. Jest to rodzaj obszernych rozmiarów Encyklopedji Sztuk w Polsce, która nie tylko życiorysy artystów, spis dzieł ich, miejsca gdzie się utwory sztuki u nas znajdują, ale wiadomości rozliczne dla malarzy i amatorów potrzebne, w sobie zawrze. Poczynając, zdawało mi się, że nie wiele znajdę ku temu materjałów, teraz widzę mnogość ich nieprzebraną; na każdym kroku coś nowego i zajmującego spotykam. Sama wiadomość o drzeworytach w polskich księgach i cyfrach a monogramatach ich autorów, nowe światło rzuci na sztukę u nas w XVI wieku zwłaszcza. Zapowiedziane przez innych dzieła są dla mnie pożądanym materjałem......

„Niektórzy ani znając, ani widząc materjałów naszych z góry wnoszą, że mają daleko bogatsze. Któż sądzić o tém dał prawo? Wydaliżeśmy co? ogłosili? któż u nas Słownik poczęty przeglądał? Że prosim wszystkich o materjały, nie jest dowodem ich braku, ale starania, aby nic się nie zostało, co w książkę wcielonem być może. W Bibliotece Warszawskiéj (kwiecień) jakiś Korrespondent ogłosił, że p. Żegota Pauli daleko bogatsze od naszych ma materjałów zapasy. Któż je porównywał?? Zaprawdę, wielkie to dziecińsiwo te ogłoszenia na wyprzódki. Wydawajcie panowie co macie, prosimy bardzo; pocóż zapowiadać. Myśmy to tylko uczynili w myśli zebrania jak najobfitszego materjałów; wy co ich macie podostatkiem—prosimy, pokażcie co Bóg dał.”

Będąc teraz w Gródku u Szan. Autora, przejrzeliśmy okwite zasoby, jakie posiada we 24 sporych księgach—i sumiennie zaręczyć możemy, iż z tego co już dotąd daje się widzićć, śmiało wnieść godzi się, że dzieło J. I. K. będzie najzupełniejszém, tém bardziéj, że aautor zamyśla w tym umiłowanym przez się celu, odbyć jeszcze kilka wycieczek. *H. S.*